

Beckett czyta Prousta. Rozmowa z Antonim Liberą

Umysłowość i wrażliwość Becketta radykalnie różni się od umysłowości i wrażliwości Prousta. Proust stworzył wiarę zastępczą: człowiek jako indywiduum może się zbawić za pomocą „pamięci mimowolnej”, która pozornie cofa w czasie, a człowiek jako istota cywilizowana może się zbawić za pomocą Sztuki i Kontemplacji. Beckett obie te „rewelacje” odrzuca – mówi Antoni Libera w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Proust. Czas kultury”.

Mikołaj Rajkowski: Esej Samuela Becketta *Proust świadczy o uważnej i wielokrotnej lekturze *W poszukiwaniu straconego czasu*. Co godne uwagi w tym kontekście, napisany został przez 24-letniego autora niespełna trzy lata po ukazaniu się we Francji ostatniego tomu cyklu powieściowego Prousta. Co zafascynowało go w tym dziele? W jakich okolicznościach powstał ten esej?*

Antoni Libera (tłumacz i znawca twórczości Samuela Becketta): Beckett napisał go na zamówienie agencji literackiej kierowanej m.in. przez jego przyjaciela Thomasa McGreevy’ego dla wydawnictwa Chatto and Windus, które opublikowało go w marcu 1931 roku. Jak nieraz w przypadku Becketta, zdumiewa tempo pracy. Młody pisarz przeczytał całe dzieło Prousta dwukrotnie – w lecie 1930 – a gotowy maszynopis liczący blisko 70 stron oddał do redakcji w połowie września tego roku.

Beckett czytał i analizował dzieło Prousta przez pryzmat filozofii Schopenhauera, którą w tym czasie dokładnie i z upodobaniem studiował. Historia Marcela zdaje się być dla niego świetną egzemplifikacją poglądów niemieckiego filozofa na temat ludzkiej egzystencji. Źródłem i zasadniczą przyczyną tragizmu ludzkiego losu jest to, iż człowiek podlega Czasowi i że zmienia go to nie do poznania, zarówno zewnątrz, jak i wewnątrz. Taki sposób istnienia w Czasie (teoretycznie daje się pomyśleć inny) powoduje, że ludzkie indywiduum nie jest istotą ciągłą, lecz szeregiem kolejnych postaci, nie mających ze sobą nic wspólnego. Scalającym łącznikiem jest pamięć, ale jest to zjawisko czy mechanizm problematyczny.

Ciekawe więc, że z niezwykle bogatej w najrozmaitsze jakości materii dzieła Prousta Beckett wydobywa właściwie samą oś. Jakby zupełnie nie interesowało go, to co dla francuskiego pisarza było głównym przedmiotem fascynacji i niesłychanie szczegółowego opisu, a więc cały „miąższ” życia – namiętności, obyczaje, hierarchia społeczna, rywalizacja i materialne bogactwo. Beckett zwraca uwagę tylko na jedno: człowiek cokolwiek ma, cokolwiek przeżywa, wszystko z biegiem czasu traci, włącznie z samym sobą – nie w sensie życia, lecz w sensie tożsamości. Ponad 2500 stron tekstu – realistycznych i psychologicznych opisów i medytacji redukuje do jednej myśli: człowiek nie posiada samego siebie, człowiek się sobie wymyka, człowiek jest jak piasek przesypujący się przez szyjkę klepsydry. Krótko mówiąc, jest to arcyciekawe zderzenie osobowości „zmysłowej”, rozsmakowanej w najrozmaitszych doświadczeniach i kontemplującej do upadłego ślady przeżyć z umysłowością „ścisłą”, chłodną i bezwzględnie nicującą wszystko jako jeden wielki pozór.

W jaki sposób Beckett odnajduje w dziele Prousta egzemplifikację wspomnianej tezy? Jak koresponduje ona z konkluzją powieści, „odnalezieniem czasu”, które wówczas objawia się jej narratorowi? Beckett pisze, że rozwiązanie to należałoby nazwać raczej „Czasem wyrugowanym” – jak należy to rozumieć?

Pana pytania są rozwinięciem tego, co powiedziałem przed chwilą. Umysłowość i wrażliwość Becketta radykalnie różni się od umysłowości i wrażliwości Prousta. Proust swoim potężnym i misternym cyklem powieściowym zbudował coś w rodzaju religii czy katedry, jak sam to nazywał. Stworzył wiarę zastępczą: człowiek jako indywiduum może się zbawić za pomocą „pamięci mimowolnej”, która pozornie cofa w czasie, a człowiek jako istota cywilizowana może się zbawić za pomocą Sztuki i Kontemplacji. Beckett obie te „rewelacje” odrzuca. Pokazuje względność „pamięci mimowolnej” i kruchość oraz niedostateczność dzieła ludzkich rąk. Sztuką i kontemplacją – jak u Schopenhauera – można najwyżej nieco złagodzić okrutny los (w dodatku jest to dane bardzo nielicznym), ale w żadnym wypadku nie można się „zbawić”.

Beckett zdaje się patrzeć na bohatera Prousta z góry – nie z poczucia wyższości intelektualnej czy artystycznej, lecz, by tak rzec, z pozycji mądrościowej. Paradoks polega na tym, że Beckett – protestant, który stracił wiarę w znacznie większym stopniu niż Proust – jest od niego bez porównania bardziej religijny, tyle że *à rebours*, w sensie bezwzględnego odrzucenia czy wręcz potępienia doczesności. Dla Becketta „ten świat” jest złem nie do obrony i nie do naprawy. I wszelka teodycea i pocieszenie są mylne i złudne. Wybawienie przynosi jedynie Śmierć – wyjście z pułapki podmiotowości i woli, całkowite uwolnienie się od jakichkolwiek pragnień i pożądań.

Inaczej mówiąc, Beckett patrzy na bohatera Prousta, a tym samym na niego samego, jako na nieszczęśnika, który się szamocze, w kółko popełnia te same błędy, wiedziony niepoprawnie tymi samymi złudzeniami, a wreszcie stwarza sobie iluzoryczne pocieszenie w postaci aktu twórczego i wiary, że przewyciężył tym marność doczesności. Dla przyszłego autora *Godota* jest to przypadek godny pożałowania. Podobne uczucia żywi on do swoich przyszłych postaci, takich właśnie jak biedacy z *Czekając na Godota*, którzy uroili sobie tytułowego dobrodzieja, albo Winnie ze *Szczęśliwych dni*, która wbrew oczywistości, że nieustannie pochłania ją piasek (ziemia), wciąż powtarza, że życie jest lepsze niż nic, i śpiewa pieśń miłości.

Postaci w dziele Prousta pozostają tragicznie uwikłane w Czas, przez który starzeją się, cierpią, podlegają wszechstronnej degeneracji. Czy owa religia sztuki, do której dochodzi w końcu narrator *W poszukiwaniu straconego czasu*, pozwala co najwyżej uchronić swoją doczesność we własnoręcznie postawionej katedrze (zdaniem Becketta i tak czysto iluzorycznie), czy też wierzy on w jej możliwość stwórczą, siłę ustanawiania? Innymi słowy, czy w powieści Prousta zachodzi przejście od – wskazanego przez Becketta – momentu Schopenhauerowskiego do Nietzscheańskiego? Taką wersję „religii sztuki” rozważał później choćby Rilke...

Zdecydowanie nie. Jeśli można mówić o jakimkolwiek „stanowieniu się” człowieka, to tylko – wedle Becketta – w takim sensie, w jakim pojmował je Vico, osiemnastowieczny filozof, autor głośnej *Nauki nowej*. To znaczy, że natura ludzkości – jak wyłożone jest to w księdze „O poetyckiej naturze ludów pierwotnych” – polega na wymyślaniu

samego siebie na podobieństwo fantazjowania dziecka. Inaczej mówiąc, człowiek tworzy pewne idee na miarę swojej wyobraźni, a następnie traktuje je tak, jakby były czymś obiektywnym, a nie urojonym. I właśnie za pomocą tego mechanizmu przekształca samego siebie. Ale to przekształcenie nie ma charakteru progresu, lecz co najwyżej wiecznego eksperymentu. Człowiek nie wie, ani jak, ani przez kogo został stworzony, a nade wszystko po co. I przyjmuje na ten temat rozmaite hipotezy, po czym przez jakiś czas postępuje w myśl zawartych w nich założeń. Aż wyczerpie się dana koncepcja, to znaczy przestanie się sprawdzać. Czasem trwa to bardzo długo, setki lat, ale prędzej czy później do takiego kryzysu i krachu dochodzi.

Dla Becketta tacy artyści i myśliciele jak Proust, Nietzsche czy Rilke byli zagorzałymi idealistami, podczas gdy on właściwie przez całe życie pozostawał realistą i sceptykiem. Jednym z jego filozoficznych *credo* była maksyma Demokryta: „Nic nie jest bardziej rzeczywiste niż nic”. Był w tym myśleniu bardzo konsekwentny. Być może właśnie dlatego Miłosz nazwał go „najuczciwszym pisarzem” europejskiego Zachodu.

Z Antonim Liberą rozmawiał Mikołaj Rajkowski

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.